Tom III. **Nr. 15.**

21. Listopada **1860.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Władysław, syn Jagiełłów,

KRÓL POLSKI.

Niespełna dziesięć lat miał Władysław, kiedy go ojciec odumarł. Więc zaczęli mówić niektórzy ludzie, że chłopię bardzo młode, i oglądali się, czyby też kogo innego na króla nie obrać; ale więcej było takich, co pamiętali na cnotę nieboszczyka ojca i rzekli: Chcemy, żeby syn rządził! Jakoż tak się stało; obrała sobie nasza Polska Władysława królem, a że był bardzo młodzieńki, to mu dodali radnych panów do boku.

Tak mijał rok za rokiem. Aż też jednego czasu zaczęli sobie ludzie rozpowiadać, że poganin Turek zaczyna napadać na węgierską ziemię i srodze tam dokazuje. Myśleli panowie, że to próżne gadanie; aleć jednym razem zjechali wysłańcy węgierscy na królewski zamek i rzeką:

— Miłościwy panie! król nasz umarł, Turek nas napada, pali i pustoszy. Króluj nam panie, radź nam jak możesz.

Nasz Władysław był już wtedy sporym młodzieńcem, i rządził już swoją głową, a tu przecie nie wiedział, co sobie począć, i pyta panów:

— Jakaż wasza rada?

— Królu nasz — rzeką owi — jedź i pomóż braciom Węgrom, kiedy są w biedzie. Chrześcijańska to rzecz bronić inne chrześcijany przed pogańską napaścią; a Polacy, miłościwy panie, nie zwykli spozierać na zyski, jedno żądni bronić świętej wiary katolickiej, i nie leniwi oswobadzać inne ludy z pod ciężkiej niewoli.

Zadumał się nasz król młody na oną mowę panów, i sparł na białej ręce biedną swoją głowę. Dumał, dumał, aleć się wnet porwał i zawołał:

— Pójdę was bronić Węgrzy, moi mili bracia!

Jakoż duchem zebrali się rycerze, chłop w chłopa jak dęby, a zbroice złociste przywdziali na siebie. I siedli na konie, jakby z ognia i z wiatru, pobrząkali szablicami, a młody Władysław wyjechał na przodek i powiódł ich do Węgier.

Powitali Węgrzy polskich wojowników, jakby rodzonych braci. Ugościli i uraczyli, a potem zebrała się ich kupa, i razem z naszymi ruszyli na Turka poganina.

— Hej, Turku poganinie! krew się z ciebie lała, jakoby rzeka jedna, hej, nie dorachowałeś się tam siła twoich ludzi, skoroś się zwarł z naszymi na Kosowem polu! Dojechał-ci tam do żywego nasz Władysław młody, i pobił twoje wojsko, jak grad młode żytko! Nie mogłeś się opamiętać srogi Turczynie po tej walnej bitwie; i przyszedłeś do młodego króla i prosiłeś go na wszystko, żeby cię już nie zabijał więcej.

Nasz Władysław skłonił swoje serce na ono błaganie Turczyna, jako że nie był na krew ludzką chciwy, a chciał tylko obronić swoich braci Węgrów. Po długich więc ugodach stanęło na tem, że oba wojska będą siedziały cicho przez całe lat dziesięć, i jedno na drugie ani ręki nie podniesie. A przysięgli na to Turcy i przysiągł nasz król młody!

Ale byli tam ludzie o świętą wiarę gorliwi, a tym się gwałtem zdawało wojować dalej Turka. Więc też i ojciec święty wysłał posłańca do króla Władysława z takowem gadaniem:

— Synu mój, królu polski! Zacząłeś wojować Turki, srogie nieprzyjacioły Chrystusa, a czemużeś ich nie wygubił

do nogi? Jak się poganie rozmnożą, to znowu napadną na ciebie z całem wojskiem, i wyrzną was wszystkich. Wiem, mój synu, żeś przysiągł Turkowi, ale ja cię uwalniam od tej przysięgi, bo to z poganinem sprawa. —

Wysłuchał król tego gadania i nie wiedział co zrobić. Coś w sercu mu mówiło, żeby nie złamał przysięgi, aleć ludzie jak ludzie, namawiali go bardzo, bo im skoro było rzezać pogańskiego syna.

— Ha, niechże się stanie według wszej woli — odezwał się król smutny. — Przygotujcież się na jutro, to pójdziemy na Turka.

Rozeszli się rycerze ostrzyć ciężkie szablice, a król nasz poszedł do swego namiotu, i nie mógł zasnąć, tak mu było smutno w młodem sercu.

Na drugi dzień rychło świt, ozwały się trąby po obozie. Zerwał się młody król na nogi, i przywdział zbrój na siebie.

— Podaj-no mi hełm żelazny na głowę — zawołał na sługę.

Porwał się sługa i niesie królowi, a oto wypadł mu hełm z ręki, i coś w nim żałośnie zabrzęczało.

Ozwał się smutek w młodem sercu króla, ale nie dbał wiele na to, jeno wdział hełm na głowę i wyszedł na pole.

— Podaj-no mi konia z czarną grzywą — zawołał na sługę.

Porwał się sługa, wiedzie konia, a koń wierzga i skacze, i nie chce dać wsiąść na siebie.

Ozwał się znowu smutek w młodem sercu króla, aleć nie dbał już wiele na to, jeno chwycił konia białą ręką za grzywę, i dosiadł go spokojnie.

— Hej, na Turka, na Turka! — zawołał po całym obozie, i leciały konie i lecieli ludzie, a błyskali szablami, i nic się nie zatrzymali choć wiatr srogi zaszumiał od tureckiej strony i łamał polskie chorągwie.

I ozwał się smutek w młodem sercu króla jeszcze po raz trzeci, lecz już nie było czasu dbać na niego. Wyjechał jeno sam na przodek wojska, i całe gromady uderzyły na poganów.

A naprzeciw stała cicho spora kupa Turków, co się ustawili w taki kabłąk, jak miesiąc na młodziku. Stali cicho, jeno przed sobą wystawili spisaną przysięgę królewską na wysokiej tyce.

Lecą nasi w sam środek, a młody król na przedzie. I zwarli się strasznie z Turkami, i nuż siekać na wszystkie strony. A Turcy nie bronili się dużo, jeno ustępowali ze samego środka. Myśleli nasi, że uciekają, i dalej-że gonić za nimi. A owo w tejże chwili zaskoczyli im Turcy z tyłu, i wzięli ich w kółko.

Trudno-by to opowiedzieć, co się wtedy działo. Wywijali Turcy krzywemi pałaszami, a co który wywinął, to chlusła krew czerwona. Uderzyli na młodego króla. Bronił się nasz król, jakoby zwierz dziki; siła poganów położył koło siebie, aż ci osłabł w końcu. Przyskoczył wtedy jeden Turek i uciął mu głowę.

— Król zabity! król zabity! — zawołało polskie i węgierskie wojsko, i jęli uciekać, a poganie za nimi.

Co ich tam zginęło, trudno-by zrachować; wylało się też i tureckiej krwi co nie miara, ale ich to pocieszyło, że mieli głowę królewską. Zatknęli ją bezbożnicy na wysokiej tyce, i obnosili z radością po wojsku, a białe ciało młodziutkiego króla leżało krwią zbroczone na zielonej trawie.

Rozpłakała się polska za swym młodym królem.

— Hej, Władysławie, Władysławie, a cóżeś ty zrobił! Złamałeś przysięgę Turkowi, i Turek uciął ci głowę, a my dzieci, sierotki płaczemy i płaczemy, i źle i smutno nam bez ciebie i nie ma rady na ten smutek!...

Będzie temu dziesięć dni, kiedy minęło czterysta i szesnaście lat od owej strasznej bitwy. Była ona pod miastem Warną, i od tego to miasta nazwali ludzie *Warneńczykiem* zabitego króla.

Dzieci, módlmy się za nieszczęśliwą Polskę!

Boże grajki.

— Moja matuś, coś tak smutno śpiewa we wiklinie,
Że mi się o mało serce z żalu nie rozpłynie.

— Słowik śpiewa we wiklinie, wychodzi, wychodzi,
Słonko zaszło, ciemność płynie, zachodzi, zachodzi:
Moje złotko! i na świecie ludziom nie radośnie,
Bieda padła, bieda gniecie i jak oset rośnie.
Słowik śpiewa, bo ma wiarę, że nadejdzie ranek,
A i dla nas... hej, do czasu nosi wodę dzbanek!
Módl się, pracuj, i na Boga zdaj boleści stare,
Wszystko będzie, jeno chowaj w twojem sercu wiarę.

— Moja matuś, heń skowronek poświerguje w górze,
Aż się śmieją wszystkie kwiatki, lilije i róże.

— Poświerguje skowroneczek, aż się niebo śmieje,
Boski grajek, parobeczek, w Bogu ma nadzieję:
Moje złotko! jak ci kiedy bieda już dogodzi,
Ufaj ludziom, ufaj Bogu, że cię oswobodzi.
Skowroneczek ma nadzieję, modli się do nieba,
Niebo się do niego śmieje i użyczy chleba.
Choć człek biedny, przecież w sercu coś go trochę grzeje,
Biedny, biedny a szczęśliwy, kiedy ma nadzieję.

— Moja matuś, coś tam w gniazdku pod poszyciem gada,
Głosik gruby, głosik cieńki, jak cała gromada.

— W małem gniazdku jaskółeczki gawędzą po cichu:
Coś tam dużo wesołości i pustego śmiechu:
Moje złotko! są tam małe wesołe pisklęta,
Jest tam matka, co z miłości o dzieciach pamięta,
A tak wszystko między niemi zgodnie i pięknie,
Aż żal człeku, że nie ptakiem, tak mu serce mięknie.
Boć tam zawsze łaska Boża i dostatek gości,
Kędy ludzie żyją w zgodzie i w świętej miłości.

— Moja matuś, któż to ptaszków wyuczył śpiewania,
Czy to słonko, czy ten wiater co światem ugania?

— Moje złotko! ani słonko, ani wiater prędki
Jeno święta Cecylija uczy ich piosenki:
Kiedy rankiem Panu Bogu wyśpiewuje chwałę,
To jej ptaszki posiadają na rączęta białe;
Kiedy wieczór Panu Bogu piosnkę wyśpiewuje,
To gromada małych ptasząt cicho podsłuchuje;
A kiedy się już poranne zaczerwienią zorze,
Grają razem z Cecyliją owe grajki Boże.

Grześ z Mogiły.

TATARSKA SIEROTA.

Zadzwonili w dzwony w Rabach, a była to mała wioska w sanockiej ziemi, nie daleko miasta Liska. Ludzie poczciwi a nabożni w sukmanach i kubrakach wysypali się z cerkiewki po nieszporach i zatrzymali się przed plebanją.

Ksiądz Michał, proboszcz Rabski, zdiął z siebie kościelny ubior, i wyszedł fórtą zapytać gromadę, czegoby żądała. Twarz Jegomości była blada, smutna, chuda, znać było po niej, że nie dawno jak wyszedł z tatarskiej niewoli.

A trzeba wam wiedzieć, że to było w onym strasznym czasie, kiedy Tatarzy najokropniej pustoszyli naszą polską ziemię. Król, jak mógł, uwijał się z poganami, alеć mimo tego dymiły się w około belki niedopalonych chałup i rozsypywały się w gruzy zamki pańskie. Co było jeszcze całych zagród, to były puste, bo Tatarzy pognali siła ludu jak bydła na swoje stepy.

Codzień było mniej obrońców, a codzień więcej nieprzyjaciół. Matki chowały z trwogą dzieci, bo ojców już nie ma w chacie, żeby ich bronili. Hej, hej, jednych pozabijali, a drugich powiedli gdzieś daleko. Piją oni pod płóciennym namiotem poganina kobyle mleko, jedzą surowe końskie mięso, a kryją na piersiach szkaplerze, żeby ich też niegodna ręka nie znieważyła.

Otóż takie to były czasy, kiedy gromada Rabska wyszła z nabożeństwa i skupiła się w około kochanego plebana.

W pośrodku niewiast i kmieci stało czternastoletnie pacholę, a po onem pacholęciu spoglądali wszyscy jakoby ojcowie. Cała gromada otoczyła tego chłopca, bledszego i smutniejszego od innych, a Grzegorz, gospodarz największej lecz najbardziej spustoszonej chyży, powiedział:

— Przyszliśmy do Jegomości z tą tatarską sierotą.

— Więc cóż? — zapytał ksiądz proboszcz z pospiechem — chcecież ją opuścić i oddalić od siebie?

— Opuścić? — krzyknęła gromada razem — o niech nas Bóg uchowa! dobrodzieju. Pamiętamy dobrze na on dzień straszny, kiedy Tatarzy od strony Ustrzyk wpadli do cichej naszej wioski.

Ksiądz Michał wstrząsnął głową, a Grzegorz mówił dalej:

— Byliśmy wtedy w polu, i nie było już czasu ratować dobytku: Poganin białą czeladź zabierał w jasyr; kto mógł, to uciekł z życiem i nas oto garstka została.

— Do czegoż te smutne przypomnienia — przerwał ksiądz proboszcz — mamyż znowu płakać i szlochać nad tem, co się już raz stało?

— Oj, pozwólże nam Jegomość jeszcze raz rozpłakać się na tę spominkę — ozwał się głos z gromady. — Widzimy to jak dzisiaj, kiedy Tatarzy zrabowali cerkiewkę. Wtedy i was zabrali dobrodzieju.

Ksiądz proboszcz złożył ręce, i popatrzał z żalem na rozwaloną wieżyczkę i na podrapane ściany kościoła.

Grzegorz mówił dalej:

— Oj tak, i ciebie, wielebny Ojcze porwali w niewolę. Pan nasz, ledwie że się obronił z dziarską czeladzią. Sam Pan Bóg czuwał nad nim.

Jasna łza wdzięczności ku Bogu zabłysła w oczach księdza plebana. W milczeniu słuchał smutnej powieści.

— Wróciwszy do wsi, znaleźliśmy puste chaty i puste stodoły — ciągnął dalej Grzegorz. — Dobytek przepadł wraz z czeladzią! Spoglądamy smutni, a tu przy drodze, pod jesionem, co go Tatar ociął toporem z gałęzi, ozwał się płacz cichy i cieniutki.

Było to niedaleko chyży Tańczynej. Zbliżyłem się ostrożnie i ujrzałem pod jesionem maleńkie dziecię Tańki na trawniku. Matki jego nie widać do dzisiaj. Gromada widziała, jak ją Tatarzy przywiązaną do konia pędzili; więc postanowiła wychować jej dziecię i przygarnąć do siebie.

Wzięliśmy chłopca jak swojego. Kobiety dały mu opiekę i pokarm, a parobcy postarali się o odzież dla chłopca. Minęło lat czternaście: dziecię ślicznie wyrosło, a ponieważ je Tatarzy osierocili, tośmy go i nazwali: Tatarską sierotą.

— Oto jest Tatarska sierota — dodał Grzegorz, kładąc rękę na ramieniu czternastoletniego Janka, a ksiądz proboszcz rzekł:

— Wiem o tem wszystkiem; do czegóż więc przypominacie mi wasz dobry uczynek?

— Niech nas Bóg broni — przerwał Grzegorz — żebyśmy się chcieli przechwalać tem, cośmy zrobili w Imię Jego i dla Jego chwały. Nie o to więc idzie; ale pacholę ma już lat czternaście, trzeba więc, żeby poznało swój początek, a wartoby też i pomyśleć, co będzie dalej robiło na tym świecie. Złożyliśmy tam garstkę pieniędzy, co przy biedzie uciułano, więc niech też Jegomość weźmie od nas, a odda chłopca do takiej szkoły, gdzieby go nauczyli albo szablą wywijać, coby matkę odbił z niewoli, albo też umiał zarobić na jej wykupienie.

Księdzu Michałowi wypogodziła się twarz. Aż zapłakał z radości, i rzekł do gromady:

— Nie dziwcie się, dzieci moje, łzom starego człeka. Toż to ksiądz zawsze z wami smuci się i weseli, z wami się modli, z wami zaznał niewoli, i z wami czuwał nad młodością tatarskiej sieroty. Niech-no się przeda tegoroczne żytko, to mój grosik dodam do waszego, ta i odwieziemy Janka do miasta.

Jeszcze ksiądz pleban nie dokończył, kiedy od Ustrzyk zaczerniła się droga całą chmurą piasku, co podlatywał do góry. Gwar i hałas rozchodził się po zielonych łąkach, ubranych w przeróżne kwiatuszki. Zdawało ci się, że się miód sączył z wonnych ziół, a mleko z tłustych krów, co się pasły na łące.

Aleć w tej chwili wszyscy zapomnieli o dostatkach. Ksiądz pleban patrzał się długo po ciemnej drodze, a potem zawołał ciężkim głosem:

— Tatarzy!

Organista uderzył na gwałt. Gromada nie wiedziała co robić: bardzo ich było mało, żeby się bronić poganom. Nikt się nie ruszył, jeno wszyscy stanęli w okrąg tatarskiej sieroty, nieruchomi i niemi, jak z kamienia.

— Przecież zdołamy obronić dziecinę — każdy z nich szepnął, i pocałowawszy szkaplerz, czekał spokojnie.

Tłum nieznajomy zbliżał się coraz więcej do kościółka; ale wkrótce zdziwili się wszyscy i uradowali, skoro poznali sukmany kmiece ze wsi sąsiedniej. Szli drogą swoi ludzie i prowadzili pośród siebie z gwarem i krzykiem jakąś niewiastę.

Tłum się zatrzymał: wynędzniała, drżąca i wylękła kobieta padła na kolana przed księdzem, twarz jej była blada, jak u trupa, suknie krwią pobryzgane, a jednak wszyscy od razu ją poznali i wszyscy razem wykrzyknęli:

— Tańka!

— Tańka, Tańka! — powtórzyły gromady, a niewiasta klęczała przed Jegomością, a Janko u nóg jej leżał, wołając:

— Matko, mateńko!

Trudno sobie zgoła wyobrazić radość tej biednej niewiasty. Uciekła ona z niewoli tatarskiej, i przebyła wszystkie męki ucieczki, aby się jeszcze choć pomodlić w swoim kościółku.... a tu zobaczyła swego synka jedynego, co już myślała o nim, że zginął gdzie marnie na polu.

Nie można też było oderwać matki od syna! płakali i ściskali się z radości. Wreszcie kobieta drżąca i trwożna ze zwyczaju, oglądając się, czy Tatarów nie widać, rzekła:

— Przed czternastu laty, gdy Tatary rabowali naszą wioskę, zobaczyłam ich kiedy gnali za mną. Chciałam choć dziecko ocalić od strasznej niewoli, i rzuciłam je w trawę pod wielkim jesionem. Później żałowałam tego ciężko, srodze wyrzucając sobie, żem nie zachowała dziecka przy sobie, żem mu przyspieszyła może śmierci z głodu albo z tatarskiej ręki! Ale już było wszystko daremnie, i przez czternaście lat jęczałam i

za siebie i za dziecko moje, aż dzisiaj dopiero zakończył Bóg srogie męki!

Tutaj ksiądz pleban opowiedział Tańce po krótce, jakim sposobem Janek ocalał. Łzy rzewne płynęły jej z oczów, a ręce raz poraz wznosiła do góry z modlitwą za poczciwą gromadę. Biedna i trwożliwa przygarnęła syna do siebie, i wskazując w strony stepów, mówiła:

— Oj straszno tam, straszno u nich! Ani Boga ani pacierza! rzucą ci kawał surowego mięsa, dzikie śpiewy odzywają się w około, a ostra szabla wisi ci prawie nad głową!

I długo, długo Tańka miała jeszcze co opowiadać. Gromada słuchała jej ze zgrozą, Janko ze smutkiem. A skoro pieniądze zebrane na dalszą naukę sieroty oddawał ksiądz proboszcz gromadzie, pacholę prosiło, aby go też wysłali do jakiej szkoły, gdzieby się mógł nauczyć szablą robić, i pójść obronić i odbić inne matki i dzieci, skoro mu Bóg łaskawy pozwolił już odszukać swoją mateńkę. (*Ze złotej księgi.*)

WINCENTY DEKIERT.

Z dalekać to wprawdzie, ale zawsze z kraju polskiego, bo z pod Poznania piszę do was, i dzielę się z wami łzą rzewną, a razem i błogiem uczuciem, które mi w sercu zaległo.

Czytaliście już w D z w o n k u po parę razy wspomnienie o naczelniku Tadeuszu Kościuszce, któremu to pod Krakowem wielką usypali mogiłę wspólnemi rękoma: panowie, mieszczanie i chłopi.

Otóż pod tym ukochanym naczelnikiem służył wojskowo Wincenty Dekiert, gospodarz ze wsi Dubieszyna, pod miasteczkiem Bukiem położonej, o mil cztery od Poznania. Urodził się roku 1768, kropił wrogów przez długie lata, a zawsze przy ukochanym wodzu, i był we wielu potyczkach i bitwach. A kiedy się potem wszystko nieszczęśliwie skończyło, i ukochanego naczelnika, ciężko rannego, do moskiewskiej wzięto niewoli, —

Wincenty Dekiert smutny i zbolały powrócił do swojej zagrody w Dubieszynie. Poszczęścił mu też Pan Bóg i poczciwość jego nagrodził. Dochował się wnet pięknego dobytku, a co stokroć jeszcze więcej znaczy: poszanowania i miłości u ludzi, nietylko we wsi ojczystej, ale i okoliczna szlachta poważała go wielce.

Posłyszał on, że ukochanemu naczelnikowi powrócił cesarz moskiewski wolność, po latach kilku niewoli. Wolny naczelnik udał się na drugi koniec świata, do Ameryki, gdzie za lat młodych bił się o wolność tamtejszego ludu, za co też owi imię Tadeusza Kościuszki z wielką wspominają wdzięcznością i na zawsze wspominać będą. Toć-że mu tam i pomnik wystawili z kamienia, piękny a wielki. I gdy okręt, na którym płynął, zawinął na brzegi Ameryki, to luda co nie miara witało go z okrzykami radości i łzami. Potem wyprzęgli konie od powozu, i zaciągnęli go własnemi rękoma do miasta. A jeszcze i tłoczyli się do tej roboty, bo żaden nie chciał być gorszym od drugiego.

O tem wszystkiem dowiedział się zaraz Wincenty Dekiert, bo panowie sąsiedzi chętnie mu przeczytali gazetę, albo też opowiedzieli, co tam się dzieje w świecie.

Później jakoś, bo w roku 1803 czyli 1804, powrócił Tadeusz Kościuszko z Ameryki, zamieszkał w górzystym kraju Szwajcaryi, gdzie wiele, bardzo wiele dobrego czynił. Przypomnicie sobie zapewne ono opowiadanie o koniu jego wierzchowym, który to zawsze przystanął na drodze, gdy ubogiego zobaczył: nałożył się do tego, bo naczelnik zawsze przy każdym zatrzymał się ubogim i udzielił mu wsparcia.

W r. 1817 umarł wódz nigdy niezapomniany. Ciało jego przewieziono do Krakowa i złożono w grobach królewskich, w pięknym grobowcu kamiennym. A lud wszystek usypał mu mogiłę, która i żelazne przetrwa pomniki.

Wincenty Dekiert rozpłakał się serdecznie, gdy go doszła wiadomość o śmierci wodza, Tadeusza Kościuszki.

W Poznaniu obchodzono bardzo uroczyście pogrzebowe nabożeństwo za uwielbionego wodza. Wystawiony był katafalk z samej broni, pozatykano i kosy — i czerwoną krakuskę.

Zjechało się mnóstwo panów, i poczciwego narodu aniby naliczył. Rozumie się, że tam był i stary wojak, gospodarz Wincenty Dekiert z Dobieszyna.

Mijały lata — dużo upłynęło wody, a może łez jeszcze więcej; przeżyło się różności — a smutków bardzo wiele.

Wincenty Dekiert przeżył lat 94 — aż owo teraz umarł z wielkim żalem wszystkich: zasnął w Bogu — zasnął spokojnie niby dziecię. Wieczny odpoczynek sprawiedliwemu!

Gdy o zgonie jego rozeszła się po wsi wiadomość, zbiegli się wszyscy, aby go raz jeszcze oglądać.

Uchwalili panowie, księża i chłopi, by uczcić chłopa-żołnierza, i piękny, wystawny wyprawić mu pogrzeb. Wystawiono w kościele, w Buku, katafalk wysoki, przystrojony bogato i stosownie. Zebrały się cechy i muzyka kościelna.

Rano o świcie wysłał jeden z sąsiednich dziedziców wóz czterokonny, ślicznemi kobiercami pookrywany, do Dobieszyna po ciało. Złożono je na nim i ruszył z wolna, a za nim wieś cała i siła ludu okolicznego. Skoro się wóz zbliżył do miasta Buku, wyszli w procesyi księża, cechy wszystkie, dużo panów obywateli, i reszta co mieszkali w miasteczku. Panowie zdjęli trumnę z wozu i na barkach swoich zanieśli ją do kościoła, na katafalk. W koło liczne paliło się światło. Za katafalkiem rozsiedli się kapłani i na godnem miejscu dwóch starców, którzy kiedyś także walczyli pod wodzem Tadeuszem Kościuszką, i z rąk jego otrzymali krzyże za swoją waleczność.

Po odśpiewaniu wigilij i odprawieniu trzech mszy świętych, zanieśli ci sami panowie ciało na smętarz. Nad grobem przemówił bardzo pięknie ksiądz kaznodzieja, wykazując ludowi: że nie urodzenie i bogactwa, ale uczynki dobre i zasługi otrzymują uznanie i uświęcenie.

Łzy w każdem były oku — i każdy z gorącą modlitwą rzucił garść ziemi na grób wojaka-chłopa.

Westchnijcie i wy tam, przyjaciele poczciwi, w dalekiej stronie!

Paulina z L. Wilkońska.

Rady na różne przypadki w gospodarstwie.

Jak sobie poczynać, żeby się cielęta dobrze chowały.

Trafia się często w gospodarstwie, że cielęta zdychają i nie można się doczekać nijakiego przychowku. Owoż nie dzieje się to z przypadku, jeno dla tego, że ludzie zwykle nie umią chodzić koło wychowania cieląt. Najczęściej karmią je gosposie *makuchami lnianemi* z mlekiem, a to im bardzo szkodzi. Nie dobre są makuchy takie i dla krów. Nie raz się pani krzywi na kobietę, co jej mleko do miasta nosi, że nabiał nie dobry i trąci za czemś. Gosposia zaklina się, że od tej samej krowy, skosztuje sama mleka; a prawda nie dobre, jak stary olej! Zaturbowana nie wie, co to znaczy, i zwala na czarownicę, że jej mleko oczarowała. A to nie czarownica, moja gosposiu, jeno te makuchy, co je krowom dajesz. W makuchach zostanie się zawsze trochę oleju, a jak makuch stary i zatęchły, to ci potem i mleko czuć za starym olejem. Otóż nie wiele z tąd zysku, a do tego jeszcze krowy słabują i z ciała spadają. Jeżelić zaś krowy słabują, co przecież twardszej natury, to nie dziwota, że cielę tego znieść nie może i zdycha.

Mówił mi jeden stary gospodarz, że on sobie tak z cielętami poczyna:

Zaraz po urodzeniu odsadza cielę od krowy, i daje mu przez pierwsze dwie niedziele trzy razy na dzień po kwarcie mleka, a do każdej kwarty dosypuje przed pojeniem pół kwaterek suszonego i pokruszonego chleba razowego. Na trzecią niedzielę daje po pół garnca mleka trzy razy na dzień, i po pół kwaterku chleba. W taki sposób karmi ciele aż do ośmiu tygodni. Po tym czasie daje już owies i siano; a cielęta tak chowane trzymają się pięknie, wyrastają i ciągle są zdrowe.

Z jakich jaj wykłuwają się kokoszki.

Nieraz zawodzą żale gosposie, że im się same kogutki wylęgły. Bo to koguty jak koguty, biją się i czubią, kiedy

ich jest dużo, a taki z nich jeno pożytek, że rano do roboty budzą, albo na odmianę pieją. Przecież co kokoszka, to lepsza: znosi jajka, a jajka można w mieście dobrze sprzedać, albo też na własny obrócić pożytek.

Owóż jeden gospodarz długo na to uważał, jakby tu temu zaradzić, i tak już umiał potem jaja podkładać, że naprzód powiedział, ile będzie kogutków, a ile kokoszek. I wy tak sobie możecie zaradzić, jeno pamiętajcie na to: Jajko, z którego się ma kogucik wylęgnąć, ma długi wązki koniec i więcej spiczasty; zaś jajka na kokoszki mają wązki koniec tępy, i po obu stronach ładnie są zaokrąglone.

Uważajcież na to dobrze gosposie, jak będziecie miały sadzać kokosz na jajach.

Jak goić rany u koni i u wołów.

Jeżeli koń albo wół się gdzie otarł i zrobi mu się rana w tem miejscu, to najlepszym sposobem na to jest: przywiązać mu szmatkę w kilkoro złożoną, a umaczać ją najpierw w ***świniej żółci***. Próbowali to różni gospodarze, a zawsze pomagało. Czem zaś żółć starsza, tem skuteczniejsza ma być na takowe rany u bydła. Nie zawadzi więc mieć zawsze trochę świniej żółci w garnuszku: a najlepiej to gdzie trzymać w lochu, żeby się nie psuło.

Gdzie siać marchew.

Próbowali ludzie siać marchew na wiosnę między ozime żyto, i pokazało się, że była dobra i ładna.

Kto nie ma miejsca na warzywa, a chce mieć marchew, temu spróbować nie zawadzi, a zwłaszcza kiedy zasiał żyto na dobrem gruncie. Marchew rozrasta się dopiero po sprzęcie żyta, i wtedy można ją wygodnie kopać; zaś żytu nic to nie szkodzi, ani przy żęciu nie zawadzi.

RÓŻNOŚCI.

Kto na piszczałkę dał, będzie na niej grał. Pewien pan zamożny wysyłał raz swego marszałka do miasta Gdańska za różnemi sprawunkami. Skoro się dworscy o tem dowiedzieli, dalejże biegnąć do pana marszałka z karteczkami, gdzie mu swoje potrzeby pospisywali. Więc jeden chciał żeby mu przywieść sukna, drugi słodkiej wódki, trzeci strzelbę — i tak bez końca, a żaden z nich nie dał pieniędzy na swój sprawunek jeno mówił:

— Panie bracie! jak powrócisz, toć ci u nas nie zginie!

Tylko jeden koniuszy, co przyszedł do marszałka a prosił, aby mu przywieść piszczałkę z Gdańska, i dał zaraz złotówkę na nią.

Nie było wtedy żeleźnicy, i ludzie tak prędko nie jeździli jak dzisiaj; a jak kto chciał do Gdańska, to mu wodą było najskładniej. Siadał na galar i po naszej Wiśle wio! do samego Gdańska. Tak samo zrobił też i pan marszałek, a podróż odbył szczęśliwie, i wrócił za kilka niedziel.

Zaledwo jeno stanął na miejscu, tak ci się zaraz zwaliła na niego cała zgraja dworzanów.

— Witajcie panie marszałku! A cóż moje sukno, a co moja wódka, a co moja strzelba?

— Przepraszam panów braci, alem zapomniał o waszych sprawunkach — ozwał się pan marszałek.

— Panie marszałku, a gdzież moja piszczałka? — zapytał tu koniuszy co świeżo weszedł do izby.

— Jest, jest panie bracie — rzekł marszałek i wyciągnął piszczałkę z podróżnego kufra.

— Co zaś za człowiek! — jęli wygadywać owi dworzanie co nic nie dostali. — To o głupiej piszczałce pamiętał, a nam nie przywiózł takich ważnych rzeczy.

— Nie gniewajcie się Waszmość panowie — ozwał się marszałek — ale ja niezadługo znowu pojadę to wam wszystko przywiezę. Powiem jak to było. Miałem siła pańskich sprawunków na głowie, więc chciałem się obrachować jak mi długo wypadnie siedzieć w Gdańsku. Tym końcem rozłożyłem sobie na galarze wszystkie kartki, gdzie były sprawunki popisane, i na każdą kartkę położyłem odebrane pieniądze. Ni ztąd ni zowąd zerwał się nagle wiater silny, i wszystkie nie przykryte pieniądzmi karteczki powrzucał do wody. Kartka pana koniuszego była przykryta złotówką i została na galarze. Żem zaś miał dużo pańskich sprawunków, tom też nie wiedział na pamięć co przywieść panom braciom.

Przechylił się tu pan marszałek i szepnął koniuszemu do ucha.

— Nie głupim był przywozic! Pewniebym potem czekał do sądnego dnia na pieniądze.

Pomiarkowali się dworzanie, że im

trzeba było dać choć trochę grosza na sprawunki, i pospuszczali nosy; a pan koniuszy, że był człowiek wesoły i dowcipny, przegrywał sobie na piszczałce i śpiewał do tego:

Kto na piszczałkę dał, będzie na niej grał;
A Waszmość nic nie dali, to nie będą grali.

Nieużyty sąsiad. Mój sąsiedzie, kiedy się wybieracie z pługiem w pole pożyczcież mi maźnicy, bo jadę do lasu; na południe zaraz wam oddam.

— Ej, nie dam, bo mi zgubicie.

— No, to wam na zastaw zostawię złotówkę.

— Nie, nie mogę, ja ta nie fantownik.

— No, to mi ją przedajcie, bo mi duchem dzisiaj potrzebna, a taką samą kupicie se w mieście.

— Nie, mój sąsiedzie, nie mogę, ja sam kontent, że ją mam.

— No, to wam za pożyczkę kupię wódki w prowizyi.

— Bóg wam zapłać, ja ta na wódkę nie pragnący.

— No, to mi ją darujcie.

— Albo ja głupi.

— Wyście nie głupi, tylko nieużyci, mój sąsiedzie, jak w gadce mówią, nieprzymierzając: *leży pies na sianie, co sam go nie je, ale i krowie go nie da.*

Kumeczka, wielka pani. Ja ta, moja kumezko, nie lubię tak jak drudzy, co byle czem zasycą się i jużcić. Ja jak pojadę na targ albo na jarmark, to sobie dobrze podjemy we dwoje, weźmiewa jeszcze do domu, nagotujewa i pożywiewa się poczciwie. Mój także bez kieliszka gorzałki dnia nigdy nie spędzi, a i piwa kwartę ściągnie się do izby. Jak znowu większy grosz kapnie do ręki, czy za zboże, czy za nierogaciznę: to i miodu wygarniewa po sporej miarce, i słodkiej wódki po jednym i po drugim kieliszku, bo i czegóż mamy se żałować.

— Zapewno zapewne moja kumo, kiedy was stać, to i dla czego se nie pozwolić?

— Ej, stać ta jak stać, bo dziur jest dosyć, coby się je groszem wartało zapchać, ale widzicie, my lubimy jeść i smaczno, i maśno i z wygodą, i człek już nawykł do lepszego dojadku, to do zbytkowania aż cosić człeka ciągnie.

— Bo źle robicie, moja kumo, bo powiadają:

Co trunki radzi pijają,
I tłuste kąski jadają,
Nie zbiorą pieniędzy,
Zawsze będą w nędzy.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Kocioł garnkowi przymawia, a oba smolą.
Daj kurowi grzędy, to on zechce wszędy.
Kto się raz sparzy, ten dmucha i na zimną wodę.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**